*Nr. 14.* *Warszawa, d. 16 Lipca 1907 r.* *R. IX.*

# ŁOWIEC POLSKI

**Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Ś-to Krzyżka 36 w Warszawie.**
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).

## KALENDARZYK MYSLIWSKI:

W lipcu wolno polować na: dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), gluszce (koguty), cietrzewie (koguty), jarząbki (koguty), a od 1 (14) lipca na wszelkie ptactwo przelotne, jak to: żurawie, czaple, kuligi, chruściele v. derkacze, bekasy (kszyki, ficlauzy), dubelty, słonki, czajki, przepiórki, kurki wodne, gołębie (grzywacze, sińce i turkawki), drozdy, skowronki, gęsi, kaczki i nurki.

UWAGA. Przepiórek strzelać nie należy, aż do sezonu kuropatwiego.

### Lunacya w lipcu.

Pierw. kw. d. 18 o g. 2 m. 46 w.
Pełnia d. 26 o g. 6 m. 3 r.

## Wschód i Zachód Słońca

w lipcu

| Dnia | Wschód | | Zachód | |
|---|---|---|---|---|
| | g. | m. | g. | m. |
| 16 | 3 | 58 | 8 | 14 |
| 17 | 3 | 59 | 8 | 13 |
| 18 | 4 | 1 | 8 | 12 |
| 19 | 4 | 2 | 8 | 10 |
| 20 | 4 | 3 | 8 | 9 |
| 21 | 4 | 5 | 8 | 8 |
| 22 | 4 | 7 | 8 | 6 |
| 23 | 4 | 8 | 8 | 5 |
| 24 | 4 | 9 | 8 | 4 |
| 25 | 4 | 10 | 8 | 3 |
| 26 | 4 | 11 | 8 | 2 |
| 27 | 4 | 12 | 8 | 1 |
| 28 | 4 | 13 | 7 | 59 |
| 29 | 4 | 15 | 7 | 58 |
| 30 | 4 | 17 | 7 | 56 |
| 31 | 4 | 19 | 7 | 54 |




Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

**Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.**

Ogólnego zbioru Nr. 200.

**Nr. 14.** | Warszawa, d. 16 lipca 1907 r. | Rok IX.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

## V-ta Warszawska Wystawa psów.



**AIDA** — setterka irlandzka p. Bazylego Ekk'a (medal złoty W. P. M. i żeton złoty M. T. P. M.).

# PILAWIN.

*(Dokończenie).*

Pilawin — jak to wyżej nadmieniłem — został założony w *1901 r.*, kiedy to sprowadzono 2 łosie, roczniaki z Łopatycz. W tymże roku przybył byk-łoś 5-cioletni od p. Skirmuntta z Porzecza, a także 3 letnia klempa i 3 roczniaki (1 byk i 2 klempy) z Jemielczyna. Zaraz jednak na początku założenia zwierzyńca rozpoczęły się niepowodzenia, a mianowicie niecni złoczyńcy zabili byka-pięciolatka i jedną klempę z Łopatycz, a nadto zginęła druga klempa z Jemielczyna. Niepowodzenia te trwały w ciągu paru pierwszych lat istnienia Pilawina," i tylko dzięki wytrwałości inicyatora, oraz wykonawców jego myśli, a w pierwszej linii p. Sokalskiego, rąk nie opuszczono i w dalszym ciągu prowadzono raz powzięte postanowienie.

W *r. 1902* zwierzyniec Pilawiński został wzbogacony okazem bobra, nadesłanym w prezencie przez Stanisława ks. Lubomirskiego z Równego. Bóbr ten został pomieszczony u p. Sokalskiego w specyalnem ogrodzeniu na rzeczce, lecz zaraz pierwszej wiosny wezbrana woda zerwała grobelkę i bóbr uciekł. Samiec ten, jak się później okazało, osiedlił się na rzece Korczyku w odległości 10 wiorst od siedziby p. Sokalskiego, gdzie przyłączyła się do niego, nie wiadomo zkąd przybyła samica, która w roku bieżącym uległa dwoje młodych. Przychówek ten będzie w r. b. przeniesiony do zwierzyńca, gdzie znajdzie wszelkie warunki spokojnego prosperowania.

W tymże 1902 r. przybyło do Pilawina od ks. ordynata Radziwiłła z Dawidgródka i Nieświeża czworo cieląt łosi (od cycka), które karmiono z butelki; sposób ten jednak okazał się niepraktycznym, gdyż wkrótce dwoje z nich padło wskutek cherlactwa, spowodowanego nieodpowiednim pokarmem.

W tym to czasie powziął hr. Potocki myśl aklimatyzacyi zwierzyny egzotycznej, odpowiadającej mniej więcej naszemu klimatowi, i na początek zakupił u znanej firmy hamburskiej Hagenbecka — pięcioro cieląt jelenia kanadyjskiego „wapiti" (3 łanie i 2 byczki), które po sprowadzeniu zostały puszczone do parku Pilawińskiego.

*Rok 1903* zaznaczył się następującymi przybytkami. Przedewszystkiem zakupiono 3 łosie roczniaki (z orłowskiej, mińskiej i wołyńskiej gub.); z Dawidgródka zaś przybyło podarowanych przez ks. Radziwiłła — 8-ro cieląt-łosi. Tego też roku p. Sokalski odbył podróż na Syberyę, gdzie nabył (przeważnie w gub. jenissejskiej) 1 byka-jelenia marala, 2 łanie tegoż jelenia, oraz dwa rogacze i jedną kozę sarny syberyjskiej *(Capreolus pygargus)*.

Zwierzyniec Pilawiński poniósł też w 1903 roku dotkliwe straty. Przedewszystkiem padło z wycieńczenia 5 sztuk cieląt z 8-iu sprowadzonych z Dawidgródka i Nieświeża. Padła też jedna zeszłoroczna klempa wskutek oślepnięcia, spowodowanego niewątpliwie nieodpowiednim sposobem karmienia z butelki, co sprowadzać musiało anemię, a w następstwie ogólne wycieńczenie. Że tak, a nie inaczej się działo, za dowód służy, że jedną klempę uratowano od śmierci, dając jej żelazo i arszenik. Nauczeni doświadczeniem, kierownicy Pilawina zaniechali na przyszłość karmienia młodocianych cieląt mlekiem z butelki, a natomiast stosować zaczęto z doskonałym skutkiem przybrane mamki, których rolę odgrywały zwykłe kozy domowe. Od tego czasu śmiertelność wśród młodzieży łosi ustała. W ubytkach 1903 r. zaznaczyć też należy śmierć świeżo sprowadzonej z Syberyi kozy-sarny „pygargus", zabitej przez jakiegoś złoczyńcę.

W *r. 1904* przybytki były znaczne, a mianowicie: jedna klempa roczna od hr. Przeździeckiego z wileńskiej gub.; dwoje cieląt przy cycku od Ferdynanda ks. Radziwiłła z Ołyki na Wołyniu, pięcioro cieląt od Konstantego hr. Potockiego z Krzywoszyna w gub. mińskiej i jedno cielę z Dawidgródka. Z tych cieląt padło już tylko dwie sztuki. Następnie zakupiono u Hagenbecka w Berlinie parę jeleni Dybowskiego *(Cervus hortulorum)*, a w Berlińskim ogrodzie zoologicznym — jedną łanię wapiti. W drugiej partyi nabyte zostały od Hagenbecka: byk-maral, 2 łanie-wapiti, 2 łanie jelenia Dybowskiego, oraz parę jeleni kaukazkich *(Cervus persicus)*. Jednocześnie z symbirskiej gub. przybyła jedna klempa. Przyrost naturalny w 1904 r. wyniósł: 3 łosie, 2 wapiti i 1 *Dybowskii*. Nadszedł też do Pilawina, podarowany przez

# PRZYGODY RYSIA.

*(Dokończenie).*

Zaczęły się ciemne i mgliste, wiosenne noce, pełne pisków i krzyków lecących na północ ptaków; rzeka wezbrała i zatopiła okoliczne błota; na rozlewach kołysały się stada kaczek, a brzegi mieniły się wszystkimi kolorami tęczy, upstrzone różnobarwnymi bojownikami; w cichy, pogodny wieczór zachrapała nad lasem pierwsza słonka i kszyk zawarczał pod obłokami.

Przeszło jeszcze kilka tygodni, zazieleniły się łąki i lasy i znikła gdzieś skrzydlata rzesza, cała pochłonięta troską o przyszłe potomstwo. Na obszernem, łozą i szuwarami zarośniętem trzęsawisku osiedliła się para żórawi. Co wieczór dźwięczne ich krzyki budziły Bystrego, napawając go jakąś dziwną, niewytłomaczoną tęsknotą. Przypominały mu się chwile niemowlęctwa, kiedy, przytulony do matki, wsłuchiwał się w odgłosy otaczającej go natury, z każdym dniem lepiej je rozumiejąc, i nieprzeparta jakaś siła ciągnęła go w te strony, gdzie w tajemniczem ustroniu dumał od kilku wieków dobrze mu znany, samotny dąb.

Bezwiednie prawie zaczął się Bystry zbliżać do stron ojczystych, aż wreszcie po kilku dniach wędrówki, stanął pewnego, majowego poranku u celu; lecz, gdy chciał zajrzeć do wnętrza dębu, wyskoczyła stamtąd jego własna matka, i grożąc wyszczerzonymi zębami, zmusiła go do odwrotu: i w tym roku złożyła ona w wygodnej dziupli swoje potomstwo, którego strzegła, jak oka w głowie, broniąc dostępu nawet pierworodnemu synowi.

Wygnany po raz wtóry, przeniósł się Bystry, na brzeg leśnego jeziora, gdzie spędził całe lato, szukając schronienia przed upałem i owadami, w nadbrzeżnych gęstwinach. Niekiedy całe dnie i noce spędzał, rozciągnięty leniwie nad wodą, przysłuchując się żabim koncertom lub hukaniu bąka w oczeretach. Gorąco bardzo mu dokuczało, odbierając apetyt i ochotę do polowania. Młoda kaczka, od niechcenia złowiona w szuwarach, albo zbyt gorliwa cieciorka, która, w obronie piskląt sama nieomal dostawała mu się do pazurów, wystarczały mu na kilka dni.

Bezczynne życie zbrzydło nakoniec Bystremu, a organizm jego, wycieńczony długim postem, domagał się posilniejszej strawy. Pewnego razu, już na schyłku lata, gwałtownie zachciało mu się zakosztować ciepłej, sarniej krwi. Nietrudno było o nią, bo miejscowość obfitowała w sarny, które wieczorami zwykły były chodzić do jeziora na wodopój.

Dzień był parny i duszny, jeden z tych dni sierpniowych, którymi skwarne lato żegna naturę.

jednego ze znajomych hr. Potockiego, niedźwiedź malajski (samica roczna). Straty w 1904 r. były stosunkowo nieznaczne, gdyż, oprócz wspomnianych powyżej dwojga cieląt, padło jeszcze na karbunkuł tylko 5 sztuk łosi z 1902 i 1903 r. Widocznie epidemia łacniej się czepiała tych, źle karmionych osobników.

*Rok 1905* jest niezmiernie ważnym w historyi Pilawina, gdyż w tym roku z Najwyższego zezwolenia złowiono w Białowieży trzy żubry, a mianowicie: dwie krowy i jednego byka, które p. Sokalski szczęśliwie do Pilawina dostawił. Żubry te widocznie znalazły w nowej swej siedzibie doskonałe warunki bytu, gdyż trzymają się zdrowo i w lepszem nawet mięsie, aniżeli w swej ojczystej Białowieży. W tymże roku nabyto w Berlińskim ogrodzie zoologicznym 1 łanię w piti, 1 byka *Dybowskii* i 2 byki jelenia kaukazkiego. Nadto w 1905 roku zakupiono bobra, który jednak wkrótce zdechł, a Władysław hr. Zamoyski nadesłał z Białorusi parę młodych niedźwiadków. Przychówek w tymże roku wyniósł: 5 łosi, 4 wapiti, 1 maral i 1 jeleń Dybowskiego. Straty zaś były minimalne, gdyż, oprócz wspomnianego bobra, zginął tylko największy byk-łoś, przebity rogami w walce z maralem. Żałować tej straty nie należy, gdyż złośliwy ten osobnik miał już na sumieniu śmierć jednego człowieka.

W *r. 1906* nabyto od Hagenbecka parę bizonów amerykańskich, z których krowa padła po kilku tygodniach na chorobę nerek. W kilka miesięcy Hagenbeck nadesłał drugą krowę, która dotychczas żyje. Godnem zaznaczenia jest to, że bizony trzymają się stale w towarzystwie żubrów, które narazie dość wrogo przyjęły tych nowych przybyszów z za Oceanu, lecz potem przyzwyczaiły się do nich i dziś tolerują ich sąsiedztwo. W tymże roku zakupiono w Berlińskim ogrodzie zoologicznym 2 łanie jelenia kaukazkiego i byka wapiti. Naturalny przyrost wyniósł: 5 łosi, 6 wapiti, 2 marale, 1 jeleń perski, czyli kaukaski, 1 żubr (jałówka) i 2 jelenie Dybowskiego. Ubytek był małoznaczący, gdyż, oprócz krowy-bizona, padł tylko, na jakąś płucną chorobę, byk-maral od Hagenbecka.

W *roku* bieżącym *1907* zrobiono pierwszą próbę aklimatyzacyi reniferów, która wszelako nie udało się, co zresztą z góry przewidzieć było można, gdyż warunki bytu w lasach wołyńskich zbyt się różnią od warunków w polarnych krainach, zkąd renifery pochodzą. Sprowadzona z Wołogdy para tych zwierząt, z których łania była cielną, wkrótce po przybyciu do Pilawina padła, najprzód krowa, zaraz po ocieleniu, a następnie byk. Nielepiej się też udało z bobrem, sprowadzonym z gub. mińskiej, który zdechł na drugi dzień po przybyciu. Na wiosnę też roku bieżącego odbył p. łowczy Pawłowski podróż na Syberyę, w celu zakupu zwierzyny dla Pilawińskiego parku i wrócił z tej wyprawy, przywożąc z sobą 2 byki marale (czterolatki), 4 łanie tegoż jelenia (z tych 2 cielne), oraz 3 rogacze i kozę sarny „pygargus". Naturalny przyrost w roku bież. jeszcze się nie skończył, a mimo to jest już bardzo znaczny, bo 9 klemp dało 11 łosiąt (dwie dały po dwoje), nadto przybyło: 10 jeleni wapiti, 1 jeleń kaukaski i 1 maral. Krowa żubra zrzuciła.

Zanim przejdę do szczegółowego wykazu obecnego stanu zwierzyny w Pilawińskim parku, muszę jeszcze wspomnieć o sarnie zwyczajnej, która także ten zwierzyniec zasiedla. Znalazła się tu ona drogą naturalną, gdyż przy zagradzaniu parku, pewna ilość sarn została tu uwięzioną, a te się już następnie rozmnożyły i stan ich w początku roku bieżącego doszedł do 132 sztuk. Bardzo jednak ciężka, tegoroczna zima ujemnie wpłynęła na tę zwierzynę, zabierając, wskutek wycieńczenia, 36 sztuk. Co do krzyżowania sarny zwyczajnej z syberyjską, administracya pilawińska nie ma żadnych danych, sądząc jednak z blizkiego pokrewieństwa tych dwu gatunków, przypuszczać można, że wcześniej czy później krzyżowanie między nimi nastąpi.

Ogólny stan zwierzyny w czerwcu r. b. przedstawiał się, jak następuje: żubrów—4, bizonów—2, niedźwiedzi—2, łosi—39, wapiti—33, maralów—15, jeleni Dybowskiego—9, jeleni kaukaskich — 8, sarn zwyczajnych—96, sarn syberyjskich „pygargus"—6, łania jelenia zwyczajnego (sprowadzona z Trzebienia od Jana hr. Zamoyskiego) — 1, mieszańców tejże łani z bykiem wapiti — 4 (1 byk, dwie łanie i tegoroczne cielę, niewiadomej płci). Razem — 219 sztuk grubego zwierza. Wszystkie mieszańce wapiti z łanią jelenia zwyczajnego mają być wywiezione do Szepetówki.

---

Ognisto-krwawe słońce zapłynęło za ciężki zwał granatowych chmur, który zwolna rósł na zachodzie i przytłumionym pomrukiem grzmotów zapowiadał na noc burzę.

Olcha, na której przed wieczorem umieścił się Bystry, stała o kilkaset kroków od brzegu jeziora, wśród bagnistego lasu; pod nią wiła się ledwie dostrzegalna ścieżka, wydeptana przez sarny, które tędy co wieczór szły do jeziora, zaspokoić pragnienie. Ledwie zaczęło się ściemniać, gdy w głębi lasu zatrzeszczały gałęzie i błoto zachlupotało pod czyimiś ciężkimi krokami. Bystry, wiedząc, że sarna idzie ostrożnie i nigdy nie łamie tak grubych gałęzi, poruszył się niespokojnie na swem siedzeniu, obawiając się, aby człowiek nie popsuł mu polowania; tym razem jednak zmylił się, bo niebawem w luce, między oplątanymi dzikim chmielem pniami olch i brzóz, ukazał się rosochaty łeb starego łosia. Wolno posuwał się poważny olbrzym ścieżką, wydeptaną przez sarny, w kierunku przebłyskującej poprzez sieć pni i gałązek, tafli jeziora, gdzie pragnął orzeźwić się kąpielą i choć na chwilę pozbyć się natrętnych bąków i komarów; po drodze chwytał ruchliwą wargą zwisające pędy łoziny i brzozowe liście, i w takt jego chodu chwiały się miarowo szerokie, płaskie łopaty, błyskając białawymi końcami rogów.

Przypomniały się Bystremu opowiadania matki, jak niegdyś z poległym małżonkiem polowała na łosie z zasadzki, i w głowie jego z szybkością błyskawicy dojrzała szalona myśl; całe niebezpieczeństwo zuchwałego kroku zrozumiał dopiero wtedy, gdy poczuł, że pazury po same palce zagłębiły się w potężny kark łosia. Cofać się było już zapóźno, lecz zanim zdążył namacać arteryę zębami, jakiś straszny ciężar przygniótł go do karku przeciwnika, zatrzeszczały żebra, pociemniało mu w oczach i bez czucia spadł na ziemię: to łoś, poczuwszy na grzbiecie nieproszonego jeźdźca, przechylił w tył głowę i przydusił go rogami, a potem, zrzuciwszy go na ziemię, z pogardą obejrzał się na zmiażdżonego wroga i flegmatycznie poszedł w swoją drogę.

O północy nadciągnęła burza, i ulewa trochę orzeźwiła Bystrego; zebrawszy ostatnie siły, dowlókł się on do najbliższych zarosli, gdzie, walcząc ze śmiercią, przeleżał dni kilka. Jednakże silny organizm przemógł chorobę.

Kiedy po raz pierwszy, odpoczywając co kilka kroków, dążył Bystry na brzeg jeziora, aby ugasić palące pragnienie, zrozumiał on, że minęły niepowrotnie te czasy, kiedy to w kilku skokach łowił zające i jednem uderzeniem łapy dobijał sarnę; teraz sójki naśmiewały się bezkarnie z jego słabości, wrzeszcząc przeraźliwie i prawie dotykając go w locie skrzydłami.

W pierwszych dniach żywił się chory ryś prawie wyłącznie myszami i kretami, w miarę jednak, jak mu przybywało sił, skąpe to pożywienie coraz

Z powyższego wykazu przybytków i ubytków w Pilawińskim parku można wyciągnąć jeden bardzo ciekawy wniosek, a mianowicie, że straty wśród zwierzyny egzotycznej (wapiti, marałów, jeleni Dybowskiego, jeleni kaukaskich i sarn „pygargusów"), były prawie żadne, gdy, przeciwnie, choroby dziesiątkowały niejednokrotnie zwierzynę krajową, a mianowicie łosie (karbunkuł 1904 r.) i sarny zwyczajne (pomór wskutek ostrej, tegorocznej zimy), nie mówiąc już o częstych ubytkach wśród młodzieży łosi, spowodowanych wadliwem karmieniem cieląt przy cycku. Wskazywałoby to, że warunki zarówno klimatyczne, jak i gruntowe, odpowiadają w zupełności hodowli wspomnianej powyżej zwierzyny egzotycznej, co zresztą niejednokrotnie się już zdarzało przy przesiedlaniu zwierząt z jednej części świata do drugiej, że wspomnę tylko aklimatyzacyę królika w Australii, lub wróbla europejskiego w Północnej Ameryce.

Zbliżając się do końca mojej relacyi, nie mogę pominąć milczeniem ciekawego przedstawienia, jakie nam zaprodukował p. Sokalski z parą niedźwiedzi pilawińskich. Chowa się w Pilawinie suczka „Iskra" foxterrierka, pochodząca od psów z psiarni p. Oskara Saengera, a także bardzo piękna jamniczka. Gdy oba te pieski wypuszczono z zamknięcia, popędziły, jak strzała, do klatki z niedźwiedziami, gdy jednak jamniczka pozostała na zewnątrz, oszczekując tylko, dość zresztą ospale, niedźwiedzie przez kratę, „Iskra" wpadła do środka klatki i rozpoczęła się nieporównana scena atakowania dwu wyrosłych już niedźwiedzi przez małą psinę, która z niezwykłą zajadłością oszczekiwała kolejno to samca to samicę, skubiąc przy sposobności za kudły. Niedźwiedzie, zrazu ospale, a później coraz energiczniej, omachywały się swemi łapami, a gdy im się piesek zbytnio naprzykrzał, pouciekały do basenu z wodą. „Iskra" jednak i tu im nie dawała spokoju, aż zniecierpliwiony samiec wyskoczył z basenu i zaczął niezgrabnie gonić pieska po klatce, ten jednak zwinnie się wykręcał i za wygraną nie dawał. Trwała ta zabawa dobre pół godziny, a gdyśmy odeszli, piesek pozostał jeszcze, potem dwa razy odchodził i dwa razy wracał, aby swe ataki rozpoczynać. Jamniczka odrazu dała za wygraną. Dowodzi to, jak wielka różnica temperamentu istnieje w obu tych rasach.

Nareszcie w d. 14 czerwca, po dwudniowym, nadzwyczaj przyjemnym pobycie w Pilawinie, opuściliśmy o godz. 2-ej po południu gościnne progi myśliwskiego dworku i żegnani serdecznie przez naszych łaskawych gospodarzy, puściliśmy się ku Sławucie, gdzie na godzinę 8-ą wieczór stanęliśmy, a wsiadłszy do pociągu o godz. 9-ej, na drugi dzień w południe przybyliśmy do Warszawy.

Niech mi będzie wolno publicznie wyrazić tutaj wdzięczność w mojem i towarzyszów moich imieniu, przedewszystkiem Józefowi hr. Potockiemu, a następnie pp. Lipszowi, Sokalskiemu, Pawłowskiemu i Mikuli, za gościnę, jakiej doznaliśmy w Pilawińskim dworku, oraz za cały szereg uciech myśliwskich, których nam zwiedzenie Pilawińskiego zwierzyńca dostarczyło.

*Jan Sztolcman.*

---

mniej mu wystarczało. Wyczerpany głodem, podkradł się pewnej nocy pod samotnie w lesie stojącą chatkę leśnika i wykradł mu kurę. Mięso jej przypadło mu do gustu, przypominając smakiem jarząbka, nazajutrz więc powtórzył swe nocne odwiedziny, i byłby wydusił wszystkie kury, gdyby leśnik w porę nie zauważył ubytku w swym inwentarzu. Samotny starzec, spędzający wśród lasu resztki swego żywota, podejrzewał o tę kradzież lisa lub kunę, wyciągnął więc spoczywającą od kilku lat na dnie skrzyni zardzewiałą i zakurzoną rusznicę, odmierzył garść prochu i garść siekańców, przybił to wszystko trawą i zasiadł na noc w zrujnowanej stajence w oczekiwaniu nieproszonego gościa.

Bystry przyszedł o zwykłej porze i już chciał z kurą w zębach przeskoczyć przez płot, gdy padł, ugodzony całym nabojem w bok: stara rusznica biła ostro i gęsto.

Przed oczami Bystrego przesunęły się kolejno obrazy jego krótkiego życia, na chwilę zamajaczył znajomy pysk matki, lecz zaraz zamienił się w pomarszczoną, okoloną wiankiem siwych włosów twarz leśnika; resztki świadomości utonęły w czarnej otchłani...

„Chuda szelma... i futro dyabła warte", mruczał stary, wlokąc się do chaty, aby na tapczanie rozprostować zbolałe kości.

*J. W.*

# W sprawie rui sarn.

I.

O rui sarn bardzo obfity materyał posiada niemiecka literatura łowiecka. Już przed laty 40 w kwestyi tej, w czasopismach łowieckich ogłaszano najrozmaitsze, prawdziwe i kłamliwe spostrzeżenia i badania.

Za czerwcowo-lipcowo-sierpniową rują, oświadczyły się powagi takie, jak Dietzel—w dziełku swem „Das Reh"; Bischoff, w dziełku „Die Entwickelungsgeschichte des Rehes". „Die Jagdzeitung" z roku 1859 w Nrach 5, 7, 8 i t. d. Natomiast za jesienną rują bardzo szeroko i ciekawie rozwodzi się Winkell, w dziele swem „Winkell's Handbuch fuer Jaeger und Jagdliebhaber", a również nasz rodak, sławny badacz przyrody, K. hr. Wodzicki, opisał kwiecistym stylem ruję sarn w „Łowcu" galicyjskim, dowodząc, że właściwą rują jest ruja jesienna.

Heinrich Volkmann, człowiek szerokiej wiedzy i wielkiej nauki, opowiada w dziele swem „Das Weidwerk in Oesterreich": „Auch konnte man in zahlreichen, im August beschlagenen und vor der zweiten Brunft abgeschossenen Ricken, keine Spur einer Befruchtung finden, was bei Ricken, die im November bis December beschlagen und nach einigen Wochen darnach abgeschossen, geöffnet und untersucht wurden, allerdings der Fall war". Jest to argument niczem niezbity, że wiosenno-letnia ruja, jest rują niewłaściwą, doskonale nazwana ślepą. Jeżeli przy rozłożeniu sarny, która spółkowała z kozłem podczas rui ślepej, nie znaleziono zapłodnienia, a w drugiej, zapłodnionej podczas rui jesiennej, płód znaleziono, więc śmiało powiedzieć możemy, że dużo sprawozdań w materyi tej było i jest niewłaściwych, fałszywych. I to, co wyniosłem z mych obserwacyi podczas długoletniej praktyki, przekonało mnie dostatecznie, że właściwą rują sarn jest ruja jesienna. W czasie rui ślepej, t. j. od początku czerwca do końca sierpnia, uganiają się kozły, prawie wyłącznie, tylko za kozkami przeszłorocznemi, które do zapłodnienia nie są jeszcze zdolne, i za starszemi kozami, które nigdy zapłodnieniu nie ulegają, zwane po niemiecku—Geilrehe, zdaje mi się, że hr. Wodzicki nazywa je siutami. Takie kozy lubią towarzystwo kozłów i chętnie im się poddają. Jak wiadomo, kozy cężarne już w kwietniu odłączają się od kozłów kapitalnych, szukają miejsc spokojnych, aby spokojnie odbyć poród i tamże w spokoju chować swe nowo-

narodzone dzieci. W czasie tym nigdy nie spotykamy takich kóz w towarzystwie kozłów, gdyż one rozmyślnie ich unikają. Jeżeli jednak, podczas rui ślepej, niespodziewanie, przypadkowo spotka się taka koza z kozłem, naturalnie i ją to spotka, co jej towarzyszki, t. j. że i ją kozioł zacznie gonić, a że ona mu się nie podda, następujący przypadek niech będzie tego dowodem.

Otóż w dniu 7-go sierpnia 1878 roku, gdy czynny byłem w lasach księcia Hohenzollern w Brandenburgii, w obrębie Evengmund, gdzie dużo było sarn, zauważyłem, że jedna stara koza, prawie każdodziennie wyprowadzała parkę koźląt na łąkę leśną, zawsze w jedno i to samo miejsce; wcale niespodzianie spotkała się tu z kozłem, który też bez wszystkiego począł ją gonić. Gonitwa, której przyglądałem się dość zblizka, trwała tak długo, że koza z omdlenia runęła na ziemię, a kozioł ją wtedy począł bość rogami, czemu chcąc położyć koniec, strzeliłem do kozła, który kulą sztucerową trafiony, zrulował na miejscu.

Pomimo strzału, pomimo że kozioł padł, sarna nie ruszyła się, leżała, jak nieżywa; dopiero gdy podszedłem, aby kozła zabrać, koza wstała i poszła do kniei. Zauważyłem, ze kozioł zranił ją rogami, bo dużo wyrwał włosów, i sama poszła z odartym z włosów bokiem. W parę dni potem ujrzałem tę samą kozę z koźlętami znów na tej samej łączce. Koźlęta w czasie gonitw przywarowały w trawie.

Gonienie kóz od koźląt—jak powiedziałem, zdarza się tylko przypadkowo, niespodziewanie, sporadycznie. Że zdarzają się przypadki widzenia już w kwietniu młodych koźląt, to niczego nie dowodzi, bo w takich razach zapłodnienie sarny nastąpiło w pierwszych dniach rui jesiennej, więc też poród wcześniej nastąpić musiał; ale są to wypadki nadzwyczaj rzadkie. Ponieważ ruja ślepa rozpoczyna się w końcu maja, więc zapłodniona w czasie tym koza, chodziłaby z płodem o jakie 10 tygodni dłużej od łani.

Nienaturalnie przedstawiają się twierdzenia rozmaitych pisarzy, którzy dowodzą, że płód z rui wiosennej leży w przewodniku martwy aż do grudnia i dopiero w grudniu przechodzi do macicy—Gebahrsmutter—i tam staje się żywym i rozpoczyna się rozrastać. Twierdzenia takie nie wytrzymują i najłagodniejszej krytyki, bo martwy płód, leżąc przez sześć miesięcy w cudzym organiźmie, musiałby uledz rozkładowi zgnilizny, a zbadanie tego jest zupełnie niemożliwe, wykluczone. Musianoby mieć bowiem w obserwacyi rozprutą kozę, ale żywą, aby módz spostrzedz, kiedy ten martwy płód przechodzi z przewodnika do macicy, i czy faktycznie przebudza się z letargu. Tylko bujna fantazya coś podobnego wymyślić jest w stanie. Ruja ślepa rozpoczyna się już w końcu maja; zauważyłem to tego roku, a 3-go czerwca r. b. wyjechaliśmy z hr. B. na podjazd rogaczy i jadąc skrajem lasu, prędko ujrzeliśmy trzy sztuki sarn rozrzucone, żerujące na szlaku owsa. Lorneta przekonała nas prędko, że najbliższy nas — to kapitalny kozioł, za nim pierwsza sztuka to kózka przeszłoroczna, a ostatnia sztuka to siuta — Geilreh. Zdziwiło nas, że kozioł naraz, gdy spostrzegł ostatnią sztukę, zadarł łeb w górę i patrzył, jakby ją obserwował. Po krótkiej tej obserwacyi popędził ku niej w błyskawicznych susach, pozostawiając pierwszą sztukę w spokoju, chociaż jej prawie pod nosem przebiegał. Dobiegłszy kozy ostatniej, natychmiast rozpoczęły się harce i gonitwa. Po niedługiej gonitwie koza poddała się kozłowi i przyjęła skok.

Była to lafirynda z sarniego rodu, chętnie obcująca i poddająca się kozłom, a do zapłodnienia niezdolna. Przypuśćmy, że ów kozioł zapłodnił ową kozę już 3-go czerwca, więc ów płód martwy nosiłaby koza w przewodniku płodowym aż do grudnia, t. j. przez 6 miesięcy, i dopiero grudzień ma ów płód przebudzić i do życia wskrzesić; dla mnie jest to prawdziwe „sancta simplicitas".

Ruja ślepa, to uganianie się kozłów za kozami, to harce z lafiryndami sarniego rodu, a nie ruja prawdziwa; ruja jesienna odbywa się ze spokojem, bez gonitw, bez harców i podczas niej wszystkie kozy, które mają koźlęta, chętnie się kozłom poddają, chętnie z nimi przebywają, i ta właśnie jest rują prawdziwą, z prawami natury zgodną.

*W. Szostak.*

## Nieco o pistoletach automatycznych.

Będące u nas obecnie na porządku dziennym, zbyt częste napady i rozboje, zmuszają, naturalnie, każdego myśleć o samoobronie, dla odparcia napaści, której się można spodziewać na każdym kroku. Jednak, nabywając broń dla ochrony swego życia i mienia, nie każdy wybrać potrafi, jaka broń najlepiej odpowiada celowi; ponieważ istnieje obecnie dużo broni nowych, zatem sprzedający je puszkarze, niezawsze potrafią dostarczyć kupującej publiczności odpowiednich wskazówek. Z tego powodu niema prawie gazety, gdzieby w rubryce wypadków nie było wzmianki, że ten lub tamten wskutek nieostrożnego obchodzenia się z bronią, siebie lub też kogo postrzelił, i rzecz dziwna, że często wypadki takie trafiają się ludziom, których trudno jest posądzić o brak znajomości obchodzenia się z bronią.

Niedawno temu czytałem w „Łowcu Polskim", że p. K. Krassowski, który, między innymi, napisał wyborny artykuł o broni myśliwskiej, drukowany w *Kalendarzu myśliwskim* z r. 1899, uległ smutnemu wypadkowi, wskutek tego, że upuścił na podłogę nabity pistolet Browninga, i ten, wystrzeliwszy, ciężko go ranił; tu zatem o nieostrożnem obchodzeniu się z bronią nie może być mowy; jest to raczej wada systemu, jak to niegdyś było z rewolwerami syst. Lefaucheux, wskutek niedostatecznego zabezpieczenia broni.

W ostatnich czasach, niby grzybów po deszczu, namnożyło się różnych automatycznych karabinów i pistoletów; o tych ostatnich, jako najodpowiedniejszych dla samoobrony, mówić tu zamierzam, bo co się tyczy np. dla odparcia jakiejś bandy opryszków, napadających na dom, zwłaszcza, jak to zwykle bywa, po nocy, to, co do mnie, więcej miałbym zaufania do dobrej Lankastrówki, nabitej grubym śrótem, aniżeli do wszelkich automatycznych karabinów.

Zresztą automatyczne pistolety, tak pod względem celności strzału i ostrości jego, jak szybkości strzelania, oraz łatwości nabijania wystrzelonego magazynu, o wiele przewyższają wszelkie rodzaje rewolwerów, które też powoli wychodzą z użycia. Wprawdzie cena ich dotychczas jest znacznie wyższa, jak wszelkich wogóle nowości, jednak można mieć nadzieję, że z czasem stanieją, jak to w swoim czasie miało miejsce z rewolwerami.

Z pistoletów automatycznych istnieją cztery modele pistoletów Mausera, trzy Mannlichera, tyleż Bergmana, trzy Browninga i jeden Borchard Luger, zwany Parabellum. Jest jeszcze parę innych, co do których nie posiadam wiadomości.

Wszystkie te pistolety obliczone są na proch bezdymny: strzelają kulami, opancerzonemi niklem, całkowicie, lub też w części. Pistolety te dadzą się podzielić na dwie główne kategorye:

Pierwszą, głównie przydatną dla celów wojennych, z magazynem *przed* antabą cynglową. Nadto zaś pistolety, strzelające mocniejszymi nabojami, posiadają przyrząd, wskutek którego przy wystrzale lufa zrazu cofa się łącznie z mechanizmem, który otwiera się

dopiero wtedy, kiedy już kula zdążyła wyjść z lufy. Do pierwszej kategoryi (z magazynem przed antabą cynglową) należą wszystkie cztery pistolety Mausera (obecnie może ich jeszcze więcej przybyło), wszystkie trzy Bergmana i dwa modele Mannlichera.

Druga kategorya z magazynem w rękojeści: jeden (lżejszy) model Mannlichera, wszystkie trzy Browninga i Parabellum.

Główną wadę pierwszej kategoryi stanowi to, że magazyn, umieszczony przed antabą cynglową, czyni broń stosunkowo dłuższą i cięższą, wskutek czego jest dość znaczna przewaga części przedniej; zresztą funkcyonowanie mechanizmu, celność i ostrość strzału, są znakomite, i doprawdy, biorąc broń taką do ręki, trudno, zdaje się, uwierzyć, żeby średniej wielkości pistolet był w stanie na wiorstę odległości razić śmiertelnie, a jednak tak jest, przynajmniej w modelach większych, wojskowych. Obok równych niemal zalet ballistycznych, modele z magazynem w rękojeści, są poręczniejsze, albowiem magazyn, mieszczący się w rękojeści, nie daje takiej przewagi części przedniej, jak w tamtych, i czyni lufę stosunkowo dłuższą, jak to zobaczymy z tablicy porównawczej.

Nakoniec, pod względem bezpieczeństwa od przypadkowych strzałów, tylko *dwa* modele zdają się posiadać absolutne, bezwarunkowe zabezpieczenie od przypadkowych strzałów, mianowicie Parabellum, oraz najnowszy, kieszonkowy model Browninga. Tę to broń właśnie puściła w handel u nas Warszawska spółka myśliwska. Oba te modele są *stale* automatycznie zabezpieczone i wystrzał nastąpić może li-tylko za naciśnięciem cyngla, i to tylko wtedy, kiedy broń trzymamy w dłoni, albowiem tylko wtedy odbezpiecza się automatyczny bezpiecznik, naciśnięciem dłoni strzelającego. Te zatem dwa modele można uważać jako bezwarunkowo bezpieczne. Oba strzelają wybornie. Kieszonkowy Browning da się pomieścić w kieszeni od kamizelki, pomimo tego jednak o 100 metrów przebija on deskę, grubości 4 centymetrów, zaś o 10 kroków—deskę 6-centymetrową. Jest to zatem siła strzału dla osobistej obrony aż nadto dostateczna.

Parabellum przyjęty obecnie w armii Szwajcarskiej i podobno świeżo w Rosyi, dla uzbrojenia oficerów, jest przytem bardzo poręczny i nie nadto ciężki. Nie mając możności dołączenia rysunków broni, o których mowa tutaj, na zakończenie przytaczam niektóre cyfrowe dane dla oryentacyi czytelnika.

**Mannlicher mod. z r. 1901.**

Magazyn w rękojeści. Kaliber 7.65 mm.
Waga pistoletu nienabitego 810 gr.
Id. z 8 ładunkami 880 gr.
Długość całkowita pistoletu 221.5 mm.
Długość lufy 140 mm.
Waga jednego ładunku 8.85 gr.
Waga kuli 5.5 gr.
Szybkość początkowa kuli 306 ms.
Liczba części składowych 34.
Liczba ładunków w magazynie 8.
Skręt gwintów na 260 mm.
Penetracya zblizka 15 cm. w drzewo sosnowe.

**Bergman mod. 1897 r. (duży).**

Waga pistoletu bez ład. 1065 gr.
Id. z 10 ładunkami 1235 gr.
Długość pistoletu 275 mm.
Długość lufy 110 mm.
Kaliber 7.63 mm.
Liczba ładunków w magazynie 10.
Waga naboju prochu 0.3 gr., kuli 5.5 gr.
Szybkość początkowa kuli 420 ms.

**Bergman mod. 1901 r. Kalib. 10 mm.**

Długość pistoletu 255 mm.
Waga pistoletu 750 gram.
Liczba części składowych 24.
Liczba ładunków w magazynie 6—10.
Długość lufy 100 mm.

**Mannlicher magaz. przed antab. cynglowy.**

Dłuższy model 30 ctm., krótszy 266 mm. dług.
Długość lufy 152 mm., u krót. 119 mm. dług.
Waga dłuższego pist. 1045 gr., krót. 980 gr.
Liczba części u dłuższego 45, u krót. 41.
Ładunki, waga jednakowa, 9 gram.
Kaliber jednakowy 7.65 mm.
Waga kuli jednakowa 5.5 gr.
Szybkość początkowa dłuż. 375, krót. 360 gr.
Penetracya w drzewo dłuż. 240, krót. 210 mm.
Skręt gwintów jednakowy 250 mm.

**Parabellum.**

Kaliber 7.65 mm.
Długość pistoletu 237 mm.
Długość lufy 122 mm.
Waga pistoletu 835 gram
Waga magazynu 55 gr.
Waga prochu 0.33 gr., kuli 6 gr.
Szybkość początkowa kuli 350 ms.
Donioslość 1800 metrów.
Penetracya w drzewo sosnowe 160 mm.
Skręt gwintów 250 mm.
Ilość części skł. 34, w mag. 6
Razem 40.

**Browning.**

| *Większy model.* | *Mniejszy model.* |
|---|---|
| Kaliber 9 mm. | Kaliber 7.65 mm. |
| Długość 225 mm. | Długość pistol. 168 mm. |
| Dług. lufy 150 mm. | Dług. lufy 100 mm. |
| Waga pistol. 865 gr. | Waga pistol. 615 gr. |
| Waga nab. pr. 0.3 gr. | Waga naboju pr. 0.2 gr. |
| Waga kuli 9 gr. | Waga kuli 4.75 gr. |
| Ładunk. w mag. 7. | Szyb. pocz. kuli 275 ms. |
| Liczba części skł. 49. | Pen. z bliz. 10 cm. drz. sos. |
| | Ilość ładunk. w mag. 7. |
| | Liczba części skł. 33. |

Główną różnicę pomiędzy pistoletem Browninga większym a mniejszym, stanowi to, że w większym główna sprężyna spiralna umieszczona jest pod lufą równolegle do niej, stanowiąc niejako drugą lufę; w mniejszym modelu ta sama sprężyna umieszczona jest nad lufą, także równolegle do niej. Ten to świeży model Browninga niemałą rolę odgrywa dziś, w naszych zamieszkach, stanowiąc ulubioną broń tak rewolucyonistów, jak i obrońców legalności. Model kieszonkowy Browninga, jest to *mniejszy* model, zmniejszony, z dodaniem automatycznego zabezpiecznika, podobnie temu, jaki jest w p. Parabellum. Obok innych dogodności, Parabellum posiada jeszcze tę, że ładunki nabijać można wielokrotnie okrągłą kalibrową kulką, przy zmniejszonym naboju prochu, wskutek czego można tanim kosztem wprawiać się w strzelanie nawet w pokoju. Nadto zaś, oprócz bezpiecznika automatycznego, można go odbezpieczyć, podobnie jak inne pistolety automatyczne, tak, że automatyczne odbezpieczenie zachowuje się na wypadek raptownej, niespodziewanej napaści. Brak takiego, nieautomatycznego odbezpiecznika stanowi niedostatek kieszonkowego pistoletu Browninga, albowiem przy strzelaniu do tarczy, od nacisku dłoni na zabezpiecznik, pistolet się poddaje cokolwiek na bok. Jednak dla broni przeznaczonej, jak tu właśnie, przedewszystkiem do obrony na blizką metę, jest to rzecz mało znacząca.

Pistolety Mausera różnią się pomiędzy sobą li-tylko rozmiarami i kalibrem.

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| 1. | Cal. 6 | mm. o | 10 | strzałach. |
| 2. | „ 7.63 | „ „ | 6 | „ |
| 3. | „ 7.63 | „ „ | 10 | „ |
| 4. | „ 7.63 | „ „ | 20 | „ |

Karabinek cal. 7.63 mm. strzela tymi samymi ładunkami, co 3 mod. pistol., kula wagi 5.5 gr. prochu Wolfa, albo Plastomenitu od 0.5 do 0.7 gr., przy Plastomenicie karabinek ten daje bardzo znaczną szybkość początkową, 495 metrów na sekundę, pistolet Nr. 3 od 425 do 460, stosownie do gatunku prochu użytego.

*J. Konczewski.*

# STRZELANIE Z PISTOLETU.

***(Kule nieszkodliwe).***

Pan H. C. w następujący sposób opisuje w jednym z ostatnich numerów tygodnika *L'Illustration* nowo-wynalezione kule pistoletowe nieszkodliwe, pozwalające na strzelanie z pistoletu do „żywego" celu.

Wielki tydzień konkursów z bronią pojedynkową, który zakończył się w Tuileries na początku czerwca, obejmował między innemi nowe zupełnie, bardzo ciekawe próby, a mianowicie spotkanie *(assaut)* na pistolety.

Dotychczas w kwestyi prób pojedynkowych znano jedynie spotkanie na szpady, które w gruncie rzeczy nie różni się wiele od rzeczywistego pojedynku. Co się tycze pistoletów, to ograniczać się jedynie musiano na postawieniu obu walczących naprzeciw dwóch manekinów, reprezentujących przeciwnika. W tych warunkach walczący, nie znajdując się jeden naprzeciw drugiego, nie mogli widzieć pistoletu, wycelowanego w siebie, i nie byli niepokojeni kulą nieprzyjacielską.

Zdawałoby się, że niepodobna jest dojść do prawdziwego naśladowania pojedynku na pistolety, a jednak cel ten osiągnięto, czyniąc kule nieszkodliwemi, jak się czyni nieszkodliwemi — szpady, zakładając na nie guzik.

Wyobraźmy sobie, w samej rzeczy, łamany pistolet, nabijający się od tyłu, jak np. pistolety Smitha-Wessona, Stevensa i inne, używane w strzelnicy Gastinne-Rennet'a. Wprowadza się do kamery stalowy ładunek z okrągłą kulą woskową, nabity bardzo słabym ładunkiem materyi wybuchającej.

Waga ładunku i kuli jest tak obliczona, że na 20 metrów nie wychodzi się z kręgu o 20 ctm. średnicy. Z drugiej zaś strony kula zrobiona jest z materyału względnie miękkiego (z mieszaniny wosku, łoju i siarczanu barytu), ktory się doskonale dostosowywa do nacięć lufy, zapewniając tym sposobem celność strzału.

Ta napół miękka kula waży zaledwie $^3/_4$ grama, dając na 20 metrów uderzenie bardzo słabe, dostateczne jednak, aby się dało uczuć. Wskutek tego jest ona zupełnie nieszkodliwa, o ile nie dotknie twarzy lub obnażonej ręki, czemu zapobiedz można, używając oszklonej maski, oraz pistoletu ze specyalną na ten cel gardą.

Z bronią, w ten sposób nabitą, można z łatwością naśladować prawdziwy pojedynek, robić spotkanie na pistolety, jak się robi spotkanie na szpady.

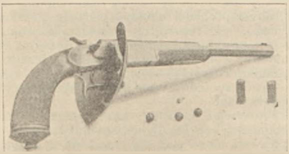
Dwaj przeciwnicy, zaopatrzeni w okulary i maski fechtunkowe, lub w maski oszklone, stają naprzeciw siebie w odległości 20 metrów w pierwszej pozycyi fechtunkowej, t. j. aby linia pleców i linia stóp była skierowana ku przeciwnikowi, stopy średnio rozstawione, ręka lewa z tyłu na linii bioder, ręka, trzymająca pistolet, opuszczona w dół, lufa pistoletu skierowana ku ziemi, a rękojeść (osada) dotyka uda *).

Prowadzący spotkanie, pyta, zupełnie jak w pojedynku: — *Gotowi?*

A otrzymawszy odpowiedź twierdzącą obu przeciwników, wymówioną głosem donośnym, komenderuje w równych odstępach czasu, posiłkując się, w razie potrzeby, metronomem: — *Ognia! — raz-dwa trzy.*

Przeciwnicy nie mogą podnieść pistoletów przed komendą *Ognia!* ani też strzelić po komendzie *trzy.* Odstęp czasu, dzielący pojedyncze komendy, waha się w granicach pół sekundy do całej sekundy, co na całkowitą komendę wynosi półtorej sekundy do trzech sekund. Co się tycze odległości, dzielącej przeciwników, to nie powinna ona przewyższać 20 metrów, jeśli chcemy, aby strzały były dokładne.

Co czyni niezmiernie trudnem ten rodzaj strzelania na komendę, to mianowicie krótkość czasu, jakim rozporządza strzelający. Przy komendzie w odstępach pół-sekundowych bardzo jest mało strzelców, którzyby w stanie byli na pewno trafić w swego przeciwnika. Przy odstępach $^3/_4$ sekundy, używanych w Tuileries podczas konkursu na szampionat, tylko bardzo wprawni strzelcy trafiali prawie na pewno. Jednakowoż w czasie tych prób czterej lub pięciu pierwszych w każdej puli trafiało w swych przeciwników 8 do 11 razy na jedenaście.



Z tego widocznem jest, że jeżeli w prawdziwych pojedynkach na pistolety są tak rzadkie wypadki poranienia, to tylko dlatego, że się pojedynkujący lub świadkowie układają mniej lub więcej nieświadomie, aby rezultat był bezkrwawy, bo jeśli można tak często trafiać się przy kulach woskowych, to dlaczegóżby miało być inaczej przy kulach ołowianych?

Szampionat na strzelanie z pistoletu kulami woskowemi, wynalezionemi przez d-ra Devillers, obudził wielkie zainteresowanie; wszelako jeszcze większą ciekawość obudził szampionat w strzelaniu z rewolweru. Użyto do tego rewolwerów Smitha-Wessona 44 (kal. mniej więcej 11-milimetrowy), stosując ten sam rodzaj kul. Tutaj jednak strzelający musiał wypuścić wszystkie sześć strzałów w czasie krótszym, aniżeli 20 sekund, gdyż liczba punktów zdobytych była o tyle większą, o ile więcej kul trafił w przeciwnika w jaknajkrótszym czasie. Wielu ze strzelających trafiło w przeciwnika po sześć razy w ciągu 8 do 10 sekund z odległości 20 metrów, i to strzelając z nieznanych sobie broni. Niewątpliwie zatem z broni, do której byli przyzwyczajeni, co się zwykle zdarza przy strzelaniu z rewolwerów, osiągnęliby oni jeszcze lepsze rezultaty. Prawdopodobnie najodważniejsi z bandytów namyśliliby się dobrze przed zaatakowaniem tego rodzaju przeciwników

*) Jest to poza pojedynkowa, używana powszechnie we Francyi. *(Przyp. Hóm.).*

i gdyby wszyscy ci, których rodzaj zajęcia zmusza do uczęszczania w nocy podejrzanych dzielnic Paryża, byli w stanie wpakować bandycie, już nie mówię sześć kul na 20 metrów w ciągu 20 sekund, lecz tylko 3 do 4 na 10 metrów w tym samym przeciągu czasu, wprędce rozstrzygniętoby kwestyę bandytyzmu.

I gdyby straż porządku publicznego była dostatecznie w tem ćwiczona, to wtedy nie bandyci zabijaliby agentów policyi, jak to się w ostatnich czasach zbyt często powtarzało, ale przeciwnie, — ci ostatni uprzątaliby apaszów. Miejmy nadzieję, że prefekt policyi, który jest człowiekiem inicyatywy, postara się odpowiednio przygotować swych podwładnych, aby mogli skutecznie walczyć przeciw całej zgrai zbrodniarzy sutenerów, pojawiających się zbyt często na naszych bulwarach. Dziś mamy już środki ku temu i łatwo cel ten osiągnąć będzie można. Wbrew opinii ogólnej można dzisiaj w bardzo krótkim czasie i bardzo małym kosztem stać się bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem w strzelaniu z pistoletu. O ile dokładne strzelanie jest bardzo trudnem, o tyle łatwo jest dojść do wprawy, aby na 20 metrów wpakować 6 kul w tarczę o średnicy 3, a nawet 6 ctm., jak to czynią pierwszorzędni strzelcy (Winans, komendant Fouconnier, kap. Moreau, komendant Py, ś. p. Ira Paine i inni), a tem samem łatwo jest trafić człowieka na 20 metrów; chodzi bowiem tylko o to, aby nie wychodzić z koła o średnicy 35 ctm. Do tej wprawy można dojść po kilku tygodniach ćwiczeń*) kosztem jakich stu franków, z warunkiem jednak ćwiczenia się ciągłego**). Aby jednak dojść do tego rezultatu, niezbędnem jest strzelać do kartonu, aby otrzymywać strzały maksymalne. Nie dlatego, abyśmy chcieli obniżyć wartość strzelania precyzyjnego, lecz ten rodzaj strzelania nie dla każdego jest dostępny. Jest to *sztuka* trudna, dostępna tylko dla osobników wyjątkowo uzdolnionych. Jest to w rzeczywistości rozrywka dyletancka, a dla niektórych osób—profesyonalna. Nie jest to bynajmniej ćwiczenie praktyczne.

Przeciwnie, jeśli nie każdy może dojść do tej doskonałości, co Ira Paine, to każdy przy troszce cierpliwości może stać się strzelcem groźnym z praktycznego punktu widzenia. Jako dowód tego twierdzenia, dość jest spojrzeć, co się dzieje w towarzystwach, mających na celu praktyczne ćwiczenia w strzelaniu z pistoletu i rewolweru, jak naprzykład w towarz. „Assaut au pistolet", w towarz. „Armes de combat", „Pistolet", „Société d'entrainement à l'escrime et au pistolet", „Société militaire d' escrime pratique" i innych. Wszystkie te towarzystwa liczą w swem łonie po kilku rzadkich artystów w strzelaniu precyzyjnem, a przytem masę ludzi, z którymi unikać należy spotkania na pistolety.

## Kongres myśliwski w Paryżu.

W Nr. 8 „Łowca Polskiego" daliśmy obszerniejszą zapowiedź „Międzynarodowego kongresu myśliwskiego w Paryżu". Obecnie znajdujemy w *„Journal d'agriculture pratique"* nieco szczegółów o odbytym kongresie, które tu powtarzamy.

Międzynarodowy kongres myśliwski, pierwszy w swoim rodzaju, a zwołany z inicyatywy *„Saint-Hubert-Club de France"*, został otwarty d. 15 maja w sali *„Société des agriculteurs de France"* w Paryżu. Minister rolnictwa przewodniczył na zebraniu zagajającem, na którem obecnych było 500 osób, a wśród nich notable francuskiego świata cynegetycznego, oraz znaczna liczba delegatów zagranicznych towarzystw myśliwskich. Minister Ruau wygłosił mowę, żywo oklaskiwaną, w której zastanawiał się nad celami kongresu.

„Oprócz kwestyi sportowej — dowodził minister—łowiectwo przedewszystkiem przedstawia sprawę narodową, a będąc integralną częścią bogactwa Francyi, interesuje z tego punktu widzenia ludzi, uprawiających liczne gałęzie handlu, przemysłu, pracy i finansów".

Prace kongresu dążyły do przedstawienia szeregu żądań, których wypróbowanie może rząd uskutecznić niezwłocznie w dogodny sposób i z pożytkiem dla wszystkich. Dla ułatwienia pracy, kongres wyznaczył dwie komisye, które podzieliły się na dziewięć podkomisyj; wnioski ich zostały przedstawione zebraniu plenarnemu w d. 18 maja.

Z raportów rządowych, odczytanych na kongresie, zasługuje na szczególną uwagę raport inspektora zarządu leśnego, p. Arnoulda, który wystąpił przeciw wszelkiemu obniżeniu ceny *„permis de chasse"* (świadectw myśliwskich) i przeciw wydawaniu pozwoleń jednodniowych. Arnould jest zdania, że *„permis de chasse"* stanowi środek policyjny, odpowiadający potrzebom publiczności, i że niebezpiecznem byłoby zniesienie tych świadectw, jak również nadmierne zdemokratyzowanie łowiectwa.

Dla poparcia swego twierdzenia, inspektor powołuje się na przykład Czech, gdzie tytułem próby niedawno zostawiono zupełną swobodę polowania. Podczas takiego roku próbnego były następujące rezultaty polowań, odbytych w niedzielę: 50 osób zastrzelono „przez pomyłkę", 3,014 zraniono, ubito 24,469 zwierząt domowych i upolowano 1,814 sztuk zwierzyny, już razem z... wróblami.

Te czyny bohaterskie kosztowały 413,000 guldenów odszkodowania, 633,000 guldenów na wsparcie dla poranionych, 172,000 guldenów na honorarya lekarskie i koszta sądowe, oraz 74,088 godzin więzienia.

Rozumie się, że wnioski Arnoulda zostały przyjęte przez kongres. Wyraził on także życzenie, aby stanowczo wzbroniono sprzedaży zwierzyny, z chwilą zamknięcia polowań, jak również sprzedaży zwierzyny, konserwowanej w przyrządach ochładzających. Życzenie to ma cel podwójny: 1) ochrony ptaków użytecznych dla rolnictwa i 2) ochrony zdrowotności publicznej. Rzeczoznawcy bowiem ogłosili raport, oparty nad oświadczeniach, dokonanych przez urząd zdrowia publicznego, że ptaki wydobyte z przyrządów ochładzających, są istotnie szkodliwe dla zdrowia.

Znaczną większością głosów uchwalono dalej wnioski, że polowanie powinno być podzielone na gminy, mające prawo do danego terytoryum, i że potrzebna jest reforma prawodawstwa łowieckiego w kierunku obostrzenia kar za przekroczenie przepisów.

Podług sprawozdania francuskiego inspektora finansów, p. Goutanda, rozmaite dochody z myślistwa dają francuskiej kasie państwowej rocznie sumę, wynoszącą przeszło 45 milionów franków.

*) Tegoroczny zdobywca szampionatu w spotkaniu pistoletowem, komendant Ferrus, zaczął praktykować strzelanie z pistoletu na komendę w 50-ym roku życia, co bynajmniej nie jest dobrym warunkiem do rozpoczęcia nauki. Drugim z rzędu jest strzelec, który rozpoczął strzelanie z pistoletu na kilka tygodni przed konkursem.

**) Najlepiej jest zapisać się do którego ze specyalnych Towarzystw strzelania z pistoletu, praktykując jednocześnie strzelanie u siebie w pokoju.

# WYPRAWA MYŚLIWSKA
## do krainy Massai.

Przez
*Edwarda Trojanowskiego.*

ROZDZIAŁ I.

Przyjazd do Massai. — Misye katolickie. — Przygotowania do wyprawy. — Droga koleją do Athy River St.

Marzeniem mojem od lat kilku było przedsięwziąć wyprawę w głąb Afryki, do tego kraju, pełnego tajemniczości, do tych lasów dziewiczych, nietkniętych stopą białego człowieka, do tych przestrzeni nieznanych i niezbadanych zupełnie.

Wśród gór Atlasu, lub dżungli Cejlonu i niebotycznych lasów Kalifornii myśl ma zawsze biegła do tego kraju, o którym Livingston, Stanley i wielu innych takie cuda głosili.

Po piętnastu dniach dość zresztą monotonnej podróży, odbytej pod palącymi promieniami podzwrotnikowego słońca, w pierwszej połowie lutego zarzuciliśmy kotwicę w porcie Kilindini.

Miejscowość ta, położona nad brzegami oceanu Indyjskiego, oddaloną jest zaledwie o kilka mil od Mombassa i stanowi wygodną przystań, do której zachodzić mogą nawet największych rozmiarów okręty. Port ten jest to właściwie głęboko w ląd wchodząca zatoka, wyżłobiona wśród skał koralowych i porośnięta przepysznemi, podzwrotnikowemi roślinami, wśród których królują palmowe i mangowe drzewa.

Przybycie dużego parowca w tym oddalonym od świata zakątku jest faktem niemałego znaczenia, to też większość zamieszkujących Mombassę Europejczyków przybywa na pokład.

W jednej chwili jesteśmy otoczeni dziesiątkami łodzi, przepełnionych po większej części czarnymi; ze wszech stron dolatują nas krzyki i nadzwyczajne wrzaski, cechujące plemiona południa i wschodu, krzyki takie, że zdawałoby się, iż lada chwila ma nastąpić jakiś kataklizm, lub że ludzie ci za chwilę pomordują się wzajemnie, a to tylko właściwie i najczęściej chodzi o jakąś błahostkę, jak posunięcie łodzi, lub sprzedanie drobnego przedmiotu, czy też owoców, których całe stosy miejscowi przekupnie na okręt przywożą.

Jest nas dwóch, którzy opuszczamy poczciwego naszego „Koeniga“: pan P., Amerykanin, który dla handlowych interesów przybywa do Mombasy, i wasz sługa. Reszta podróżnych w dalszą na południe udaje się drogę.

Pożegnanie, życzenia, i oto znajdujemy się w łodzi, do której z jękiem wlatują nasze kufry, chwila jeszcze, a pchani kilkoma potężnemi ramionami, skacząc po falach, zaczynamy oddalać się od statku, który, stojąc nieruchomo, błyszczy i zdaje się olbrzymem wśród prostopadłych promieni słońca.

Z pokładu powiewają nam chustkami, z trudem rozpoznaję jeszcze swych znajomych, z którymi w ciągu podróży tyle miłych chwil spędziłem.

Przybijamy do brzegu, gdzie powtarza się nowa edycya wrzasków i nawoływań, zgromadzonego dość licznie, czarnego towarzystwa; podsadzają nas, ciągną i w chwilę wraz z kuframi znajdujemy się w małym domku, stanowiącym urząd celny.

Rewizya odbywa się bardzo szybko, zabierają mi tylko broń i naboje, które mi będą zwrócone z chwilą wykupienia pozwolenia na prawo polowania.

Jedyną lokomocyą, jaką posiada Mombassa, są t. zw. „trolly“, t. j. maleńkie wagoniki, coś w rodzaju naszych drezyn, opatrzonych daszkiem i pchanych przez 2 lub 3 murzynów po miniaturowych szynach.

Po każdej ulicy nieomal do każdego domu prowadzi osobna linia takich szyn, a bogatsi Europejczycy i mieszkańcy Mombassy posiadają swoje własne wagoniki.

Ostatnie pożegnanie, ostatni rzut oka na widniejący w dali okręt i usadowiwszy się w „trolly“, a umieściwszy na drugim kufry, ruszamy; z początku droga jest kręta i prowadzi pod górę, więc posuwamy się zwolna, pchani przez dwie pary bronzowych ramion, następnie, wydostawszy się na pyszny, równy gościniec, zaczynamy pędzić, co się zowie.

Olbrzymie, mangowe drzewa, przeplatane palmami, ocieniają drogę, przyjemny pęd powietrza, wywołany szybką jazdą, chłodzi i mimo że jest godzina południowa i upał tropikalny, nie odczuwa się gorąca.

W niespełna godzinę jazdy, minąwszy cały szereg bardzo ładnych domków, ukrytych wśród drzew i krzewów, obsypanych różnokolorowymi kwiatami, oraz misyę i kościół katolicki, stajemy przed piętrowym domkiem, na którym widnieje szumny napis „Grand Hotelu“. Na widok ten dzieje mi się ckliwo i w myśli przesuwa się uwaga, że chociaż „il n'est pas grand, mais toujours un hôtel“, wyłaniam się z mego wehikułu i oddaję na pastwę całej chmarze Indusów pełniących służbę hotelową. Dostaję duży pokój, trochę brudny i zakurzony, ale z łóżkiem i muskiterem. Wychodzę na balkon, który biegnie wzdłuż całego pierwszego piętra i służy jednocześnie za salę jadalną. Siadam przy stoliku i każę sobie podawać „tifin“, — kilku Anglików, wyciągniętych na t. zw. „Bombay chaiz“, t. j. fotelach z poręczami na nogi, które, siedząc, trzyma się na jednym poziomie z żołądkiem i nosem, — oddaję się głębokim rozmyślaniom, czy też słodkiemu trawieniu.

Z balkonu widok wychodzi na niewielki placyk ze świeżo założonym ogrodem i pomnikiem pułkownika Hamiltona pośrodku, a w dali widnieje lazurowa toń morza.

Na lewo stare zamczysko średniowieczne, zbudowane przez Portugalczyków, dawnych panów tej ziemi. Pod murami tymi, zbudowanymi z wapieni koralowych, na których ząb czasu wyrył swe znaki, niejedna rozegrała się bitwa. Bo przecież historya Mombassy jest jedną z najkrwawszych. Ileż bohaterskich obron i wysiłków było świadkiem to stare zamczysko, służące dziś za więzienie i koszary maleńkiego garnizonu indyjskiego, który tu rząd angielski utrzymuje.

*(C. d. n.)*

# Produkcya jaj ptasich.

Popieranie produkcyi jaj wyrosło w najnowszych czasach w formalną potrzebę, której przecież pewna zaledwie część krajów europejskich jest w stanie zadośćuczynić. Austro-Węgry, Rosya i Włochy przodują na tem polu, jak się to da wykazać cyframi. Austro-Węgry eksportowały już w 1889 r. 1,114, Rosya w 1890 r. 750, a Włochy już w 1881 r. 300 milionów sztuk jaj; cyfry, które w upłynionem dziesięcioleciu podniosły się o wiele jeszcze dalszych milionów. Gdzie się podziały wszystkie te miliony? Aby na to pytanie choć w przybliżeniu dokładnie odpowiedzieć, trzebaby mieć pod ręką obszerne tabele statystyczne; samo już wykazanie wszakże, iż

w Niemczech dowóz jaj w r. 1891 notują na cyfrę 1,610 milionów, że w 1900 tenże wynosi 2,363 miliony, oraz że Anglia od dziesiątków lat przecięciowo połowę tej cyfry ogólnej wprowadza do siebie, da nam poniekąd wyjaśnienie co do tego, jakie tu państwa głównie w grę wchodzą.

W wiekach średnich, kiedy zmysł smaku niewątpliwie był niemniej wykształconym, niż w dzisiejszych czasach, jajko naszej zwykłej kury domowej bynajmniej nie miało pierwszeństwa. Podówczas raczej najwięcej poszukiwanemi były jaja czaple i jako przysmak podawano je na stołach dostojników. Wraz z upadkiem niegdyś kwitnącego niezmiernie polowania z sokołami na czaple i ze zmniejszeniem się zwolna tego gatunku, jaja czaple niemal zupełnie ustąpiły z listy naszych środków spożywczych. Natomiast wzrosło bardzo korzystanie z lęgowisk innych, gromadnie się gnieżdżących ptaków, zwłaszcza mew. Tak np. wyspa Borkum dawniej corocznie wysyłała do Anglii olbrzymią ilość jaj mew, któremi po dziś dzień jeszcze niektóre wielkie miasta niemieckie zaopatrują nadbrzeża wód Holsztynu i jeziora Kunickiego pod Lignicą. Mniej może smak ich, niż wielkość zapewniła jajom tym liczny pokup. Inaczej ma się rzecz z jajami czajczemi, tym wytworem niewielkiego, błotnego ptaka, które zaledwie połowę zawartości jednego kurzego jaja w sobie mieszczą, a stosunkowo w bardzo skromnej pojawiają się ilości. Że jaja czajki po wszystkie czasy podbierano, przypuszczać należy; kiedy one jednak powszechnego nabyły rozgłosu, kiedy poczęto je uważać za osobliwie cenną potrawę,—to byłoby nadzwyczaj trudno oznaczyć. W książce Jakuba Teodora Kleina o jajach ptasich, wyszłej w 1758 r., znajdujemy w tej mierze następującą wzmiankę: „z powodu swej znaczności często jadane". W innym autorze, który w pierwszej połowie przeszłego wieku zajmował się również tym samym przedmiotem, czytamy, że jaja czajcze są nadzwyczajnie smaczne. Ale nigdzie nie są w tak wielkiej cenie, jak w Londynie, mimo iż w znacznej ilości nadsyłają je tam z hrabstwa Norfolk i Lincolnshire'u.

W Niemczech często pierwszy transport jaj czajczych opłaca się po dwadzieścia marek za sztukę. W dalszym ciągu sezonu jednak cena ta spada znacznie, rzadko wszakże tak dalece, by jedno jajko czajcze płaciło się pięć razy więcej, niż jajko kurze, t. j. mniej więcej około 25 fenigów.

W Afryce dostarcza lub dostarczał przynajmniej głównie obok domowego ptactwa, struś jaj jadalnych w większej ilości. Obecnie, co prawda, struś znika z nadbrzeży, posuwając się coraz dalej w głąb lądu, a w tych warunkach wyszukiwanie jego jaj stało się wysoce utrudnionem i przestało się już opłacać. Dawniej jaja jego uchodziły dla pierwotnych mieszkańców Afryki za cenny pokarm, tem więcej, że zawartość jednego jajka odpowiada mniej więcej zawartości 20 do 24 jaj kurzych. Cała, liczna rodzina mogła nakarmić się jednem jajem większego gatunku strusia.

Kiedy my wymagany przedewszystkiem od jajka, jako pierwszego gatunku, aby było świeżem, chińczyk zazwyczaj zakopuje jaja w ziemię, i spożywa je wówczas dopiero, kiedy przejdą w stan zepsucia. Widocznie smak jest rzeczą z gruntu odmienną!

Na wyspie Celebes żyje rodzaj kur na wysokich nogach, z rodzaju indyjskich kur Bankiwa. który wygrzebuje doły w ziemi i w tych, w odległości sporej od siebie, składa jaja do wylęgu przez samo ciepło gruntu; jaja te są bardzo ładne, jasno-brunatno-czerwonej barwy, dziesięć do dwunastu centymetrów długie, a 5 do 6 szerokie. Jaj tych nietylko że niemożna podbierać dowolnie, ale są one nawet oddane pod opiekę umyślnie na ten cel utrzymanych dozorców, uchodzą bowiem za wielki przysmak, jak u nas jaja czajcze, i prawo korzystania z nich w tych okręgach posiadają wyłącznie dla siebie radżowie. Odpowiednio do wielkiej jego wartości, z jajkiem tego rodzaju obchodzą się bardzo starannie, a krajowcy oplatują je w wielce sztuczną plecionkę z liści palmowych.

Dość ważną, jako zbiorowisko jaj, jest wysepka Laysan. Jest to mała, około trzech kilometrów szeroka i niewiele co dłuższa wyspa guanowa na Oceanie Spokojnym, która, odkąd jakieś towarzystwo w ostatnich czasach oczyściło ją ponownie z nagromadzonych warstw nawozu i uprawiło, od szeregu lat już służy za miejsce wylęgu dla wielkich albatrosów *(Diomedea exulans)*. Olbrzymi ten ptak składa tylko jedno jajo, które pod względem wielkości przewyższa wyłącznie tylko jajo strusie, i zlatuje tu w takiej ilości, że towarzystwo zbiera jaja te i w wagonach kolejki lokalnej odwozić każe na wybrzeże, ażeby następnie wysłać ich transport okrętem na wyspy Havai, gdzie w znacznej części pod wpływem około tysiąc kilometrów długiej drogi, przybywają w stanie wielce podejrzanym dla europejczyka, ale niebudzącym wątpliwości w krajowcu.

Głównymi mieszkańcami ptasimi arktycznych okolic są niziołki i inne odmiany tego rodzaju.

Tysiące tysięcy tych ptaków ożywia w czasie lęgu strome ściany nadmorskie, niepokojonych niemal wyłącznie tylko przez człowieka, który niejednokrotnie z narażeniem życia zbiera ich jaja poukładane szeregami na występie skały, często zaledwie szerokim na wielkość dłoni. Jaja te dla całych plemion są niemal jedynem pożywieniem, a dopiero przed niedawnym zaledwie czasem przestały stanowić prowiant pewnej cząści okrętów duńskiej marynarki handlowej. Należy jednak obawiać się, że we wszystkich częściach ziemi wielkie zbiorowiska jaj zwolna się opróżnią.

## Zabójstwa na tle kłusownictwa.

Dwa, niezmiernie ważne wydarzenia na tle bezkarnie niemal u nas grasującego kłusownictwa, znajdujemy w prasie polskiej w ostatnich czasach. Pierwsze z nich, to ciekawy opis procesu p. t. „Krwawe polowanie", drugie — to kłusownictwo, związane z „ruchem wolnościowym" podług opisu jednej z gazet prowincyonalnych:

W dniu 25-ym stycznia roku bieżącego po południu pisarz gminny, Mikołaj Filinikowski, z pomocnikiem swym, Janem Grzegorzewskim. wyszli na polowanie do lasów pod wsią Budy Nowe, gdzie Filinikowski dzierżawił polowanie. Po parogodzinnych, bezowocnych poszukiwaniach zwierzyny, myśliwi zauważyli stado sarn, wychodzące z sąsiednich lasów hr. Krasińkiego; puścili się więc za niemi, dając parę strzałów. Wówczas leśnik, Izydor Kowalczyk, w celu przeszkodzenia temu. zagrał na trąbce, drugi zaś dał strzał, poczem niefortunni myśliwi przestali ścigać sarny.

Następnie obaj leśnicy, ukrywszy się za drzewami, dali szereg strzałów do Filinikowskiego i Grzegorzewskiego, na co ci również odpowiedzieli strzałami.

Strzały te jednak nie wyrządziły żadnej stronie krzywdy. Wtedy Filinikowski wraz z Grzegorzewskim wsiedli na furę włościanina Piotrowskiego i kazali się powieźć do Mszczonowa, gdzie obaj zamieszkiwali.

W drodze spotkali leśnika Pieszka i 14-letniego chłopaka, Franciszka Pasa, do których podobno Filinikowski dał kilka strzałów. Na drugi dzień rano na drodze ze Mszczonowa do Bud Nowych znaleziono

trupy dwóch ludzi; ludźmi tymi, jak się okazało, byli leśnik Pieszek i chłopak, Pas.

Pierwszy z nich miał rany na głowie, piersiach i wargach, drugi zaś dwie rany głowy. O zabójstwo to posądzono Filinikowskiego, który niedawno stanął przed sądem.

Filinikowski do zabójstwa się nie przyznał i oświadczył, że wystrzelił przypadkowo, gdy chciał się poprawić na siedzeniu.

Obrońca zaś oskarżonego, adw. przys. Pepłowski, dowodził, iż śmierć wymienionych osób prawdopodobnie spowodowali owi strzelcy, którzy tak obficie raczyli strzałami Filinikowskiego, i miast w niego, trafili w swych towarzyszy.

Sąd uniewinnił oskarżonego.

A oto fakt drugi, jeszcze więcej ciekawy: W d. 14 czerwca o godz. 5 po poł. właściciela majątku Ruda Ko ci lna, w pow. opatowskim, p. Józefa Tarnowskiego, raniło śmiertelnie kilkunastu strzałami z rewolwerów trzech napastników, którzy czatowali na niego, ukryci pod mostem, na drodze. Ciężko rannego p. T. służba zaniosła do dworu, gdzie w parę dni umarł. Okoliczności, poprzedzające ten wypadek, o których opowiada „Głos Radom.", rzucają bardzo charakterystyczne światło na opisany wyżej napad.

„W wigilię Bożego Narodzenia 1906 r. ś. p. Tarnowski wyszedł z parobkami na polowanie, a posłyszawszy strzały, udał się w tę stronę. Nagle w lesie zauważył dwóch polujących na jego gruncie, mieszkańców Ćmielowa. Tarnowski rozkazał im przeto złożyć broń, a zbliżywszy się do jednego z raubszyców, schwycił go za rękę, chcąc go przytrzymać. Ten jednak wyciągnął z kieszeni szybkim ruchem brauning i wystrzelił do Tarnowskiego, raniąc go ciężko w nogę. Tarnowski, broniąc swego życia, wypalił również do napastnika z dubeltówki, kładąc go trupem na miejscu. Jak się okazało, zabity nazywał się Franciszek Różalski, liczył lat 22 i był członkiem socyalistycznej partyi w Ćmielowie. Przeprowadzone urzędowo śledztwo i liczne zeznania osób, które całe zajście widziały, potwierdziły fakty powyżej wzmiankowane. To wszystko jednak nie przeszkodziło, iż w „Wiciach", organie tajnym Radomskiego Okręgowego Komitetu Robotniczego P. P. S. w Nr. 9 z d. 1 marca 1907 r. na str 8 w żałobnej odwódce ukazał się nekrolog zabitego, przedstawiający w kłamliwy sposób całą sprawę.

„Zamordowanie tow. Franciszka Różalskiego". „W d. 24 grudnia przez las hr. Tarnowskiego przechodzili nasi dwaj towarzysze i napotkawszy wyżej wymienionego właściciela w oficerskim uniformie, wraz z gajowymi, poczęli uciekać, chcąc uniknąć spotkania, gdyż byli z bronią,—jednakoż Tarnowski z gajowymi puścili się w pogoń za uciekającymi, i złapawszy z nich, Fr. Różalskiego, chciał go aresztować. Gdy ten odpowiedział, że aresztować się nie pozwoli, i gdy szamotanie się nie dało żadnych skutków,—rozwścieczony Tarnowski z namowy swego przyjaciela, puścił Różalskiego na odległość strzału, każąc mu uciekać, i wystrzałem zranił go. Ranny towarzysz wydobył brauninga, dał dwa strzały, raniąc Tarnowskiego, wówczas cała zgraja gajowych, z właścicielem na czele, w straszny sposób zamordowali naszego towarzysza, kopiąc i bijąc kolbami! Zemsta mordercom! Cześć towarzyszowi zamordowanemu!".

W kłamliwej tej w całości relacyi zwracają uwagę dwa szczegóły: mianow. Tarnowskiego nazwano „hrabią", przyczem wśród robotników hr. Juliusza Tarnowskiego w Końskich i Stąporkowie szerzono umyślnie przez organizacyę wieści, jakoby ostatni był mordercą;—drugi zmyślony fakt dotyczy wzmianki o uniformie oficerskim, w który jakoby był przyodziany Tarnowski, co było wierutnym fałszem".

# Korespondencye „Łowca Polskiego".

### Z Podola, *w czerwcu.*

Z niezależnych odemnie powodów, nie mogłem dotychczas umieścić na łamach „Łowca Polskiego" żadnej wzmianki o odbytem 13 maja (st. st.) w Kamieńcu Podolskim strzelaniu do gołębi.

Na dzień naznaczony stawili się prawie wszyscy najlepsi strzelcy z Podola, jako to: pp. Wiktor i Stanisław Skibniewscy, Zagrajski, Wacław Sadowski, Karol Kosielski z Wońkowiec, Maryan Baraniecki i wielu innych.

Pierwszą nagrodę (100 rb. i złoty żeton) wziął p. Zagrajski.

Brakowało tam jedynie p. Kazimierza Krassowskiego, znanego w kraju i zagranicą myśliwego i pierwszorzędnego strzelca, który, uległszy w styczniu jeszcze strasznemu wypadkowi z brauningiem, o czem wzmianka była w Nr. 3 „Łowca Polskiego" z r. b., dotychczas leczy się, teraz u siebie w Słobodzie, a do niedawna w Kijowie.

P. Krassowski zostałby napewno zwycięzcą w Kamieńcu, gdyby go choroba do łoża nie przykuła. Mamy nadzieję, że dzielny nasz kolega po broni wkrótce znów cudów z rusznicą dokazywać pocznie.

Tej wiosny zjawiło się u nas mnóstwo przepiórek i ptactwa wodnego. Przejeżdżając obok stawów, częstokroć widuje się chmary kaczek, na młodych zrębach przepiórki porywają się z pod nóg; znacznie mniej jest bekasów, a kuropatw, to prawie że kompletnie niema.

Myśliwi podolscy dotąd nie mogą się zdobyć na odwagę, żeby wydać wojnę bocianom, które, aczkolwiek szkody niemałe w polu wyrządzają, cieszą się u nas ogólną sympatyą i protekcyą.

A czas byłoby, doprawdy, wziąć się do tępienia tych szkodników, nie bacząc na tradycyę, bo szkody, przez nie wyrządzane, coraz dotkliwsze się stają!

*Zobór.*

### Kotlice (pow. jędrzejowski), *w lipcu.*

Przeczytawszy w kronice myśliwskiej „Łowca Polskiego" zaproszenie do nadsełania wiadomości myśliwskich, odważam się podać opis zdarzenia, którem tej zimy Dyana mnie obdarzyła, wynagradzając sowicie za wszystkie, kiedykolwiek poniesione na polowaniach trudy i niepowodzenia.

W połowie marca r. b. rano po ponowie donosi mi gajowy, że dziki są w lesie. Stałych dzików tu nie mamy, pojawiają się jednak często z lasów Mnichowa i zatrzymują się zwykle po parę dni. Tej zimy szczególniej, z powodu dużych śniegów, dziki często nas odwiedzały, będąc niedoścignionym szczytem marzeń wszystkich okolicznych myśliwych. I w sąsiednich lasach urządzałem na nie polowania, jednak napróżno; psów odpowiednich niema, podejść się dziki nie dają, z nagonki nic sobie nie robią, słowem, kpią z myśliwych najwidoczniej.

Wysłuchawszy relacyi gajowego, wyprawiłem go do lasu, sam zaś miałem zamiar nie pomnażać już bezowocnych wysiłków. Postanowienie racyonalne, lecz żyłka myśliwska na to nie pozwoliła; koło dziesiątej godziny, nie mogąc spokojnie patrzeć z okna na czarny pas lasu, ukrywający zwierza, siadam na konia, strzelbę na ramię i do lasu.

Zwołałem dwóch gajowych: jeden szedł tropem, drugi na koniu, po liniach leśnych miał dawać sygnały, gdyby dziki się wynosiły, ja zaś, o kilkadziesiąt kroków od tropu, przemykałem się widnemi miejscami, aby módz strzelić pomykającego z gąszczów zwierza. Ogromny, miękki śnieg utrudniał chodzenie, tłumiąc jednak kroki, dawał szanse podejścia. Wkrótce natrafiliśmy na świeżo opuszczone bojowisko w mrówczym kopcu. Dziki ruszyły

z niego na chwilę przed nami i postępują w głąb lasu. Trudna rada, puszczamy się za nimi, lecz bezowocnie; widać ze śladów, że w gąszczach zatrzymują się, dopuszczają nas blizko i galopem pomykają, ujrzeć się jednak nie pozwalają nawet z dalszej odległości.

Po dwugodzinnem mordowaniu się po śniegu, postanawiam dać za wygraną, i wyprzysiągłszy się, jak zwykle, dzików, wracać do domu ze zwykłym rezultatem, wtem gajowy na linii daje sygnał. Przybiegam — dwa dziki weszły w t. zw. klin. Sytuacya następująca: Klin, zarośnięty świerkowym gąszczem, graniczy z jednej strony z gołym, obcym lasem, z drugiej przylega pole, od części lasu, z którego wyszły dziki, oddzielone dróżką leśną. Próbuję w inny sposób. Gajowych posyłam dookoła, sam zaś staję na tropie. Czekam — cisza; raptem szelest, tuż koło mnie przebiega zając, znowu cicho; nagle trzask — pękła przedemną gdzieś gałązka — to już chyba nie zając; znów szelest w gąszczu — bliżej, aż nagle na drogę, w odległości czterdziestu kroków, wpada ogromna, czarna masa. Mierzę momentalnie i walę. Równocześnie ze strzałem dzik staje, podnosi ryj w stronę dymu. Widzę białe kły wyraźnie, lecz nie czas było myśleć, czy zachować drugą kulę do obrony, gdyż, tuż za nim, wyskakuje druga sztuka i zasłania pierwszego na chwilę. Chwytam go na cel i ściągam cyngiel. Strzał gruchnął i wszystko znikło. Zakładam gorączkowo kule i pędzę na strzał. Pierwszy, strzelony rozrywającą kulą „dum-dum", zaznaczył strugę farby. Siadam na konia i za nim. Kałuże krwi ciągło, aż na piętnastu krokach leży na czerwonem tle sfarbowanego śniegu wyciągnięty i nieżywy.

Nie posiadając się z radości, wracam na trop drugiego. Żadnego znaku rany, dopiero po kilkunastu krokach zaczynają się kropelki czarnej, płucnej farby. Znów się przerwały, znów są i to większe, aż koń, przechodząc koło gęstych świerczków, chrapnął i odskoczył. Zaglądam, leży, rzucam szyszkę — nic, również martwy. Jakie zadowolenie, jaka radość mną opanowała, to może zrozumieć tylko ten, kto pamięta dobrze chwilę zabicia pierwszego dzika. Były to obydwa odyńce, równej siły, z pięknymi kłami. Jak wyżej wspomniałem, pierwszy był strzelony rozrywającą kulą. Sprawiła ona bajeczny rezultat. Trafiła tuż za lewą łopatką, pękła na żebrach, łamiąc kilka, wewnątrz zaś poszarpała literalnie wszystko: płuca, serce, mięśnie. Drugi strzelony był kulą, oprawną w drzewo. Przebiła lewą, przednią łopatkę, płuca, prawą łopatkę i zatrzymała się pod skórą. dzik zaś, ze strzaskanemi obydwiema łopatkami, szedł kilkadziesiąt kroków, aż zdechł, skutkiem zniszczenia płuc.

Zdarzenie to podaję do wiadomości, przypuszczając, że dość rzadko trafia się okazya zrobienia dubleta do odyńców, jak również dla zaznaczenia, że i zwyczajna dubeltówka na możliwy dystans może skutecznie zastąpić kosztowne sztucery.

*H. Rudzki.*

## Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

*Posiedzenie Rady, 3 lipca.* Hr. Żółtowski z Kocka, oddając z dóbr swoich sto kilkanaście włók pod miejsca ochronne, prosi o wysłanie mu 25 tablic ochronnych i wyznaczenie 8 stróżów do strzeżenia tych miejsc ochronnych. Tablice postanowiono wysłać bezzwłocznie, a co do stróżów, to Rada prosiła gubernatora siedleckiego o wydanie dla nich bezpłatnych biletów na broń. Ponieważ jednak w liście kandydatów na stróżów nie było dokładnych adresów, przeto bieg sprawy się opóźnił, aż do załatwienia tej formalności.

## Wykazy myśliwskie.

W rewirach myśliwskich, należących do domenów króla pruskiego, ubito i wytępiono w sezonie myśliwskim 1906/7 następującą ilość zwierzyny:

205 jeleni-byków, 596 śpiczaków i łań, 796 danieli-byków, 2,680 śpiczaków i samic, 126 odyńców, 291 warchlaków, 433 kozłów, 597 bażantów, 6,326 zajęcy, 3,180 kuropatw, 610 gęsi, kaczek i słonek, 245 czapli i kormoranów, 368 lisów, 66 kun, 110 tchórzy, 268 łasic, 269 ptaków drapieżnych, 4,457 różnych. Ogółem 21,623 sztuki.

Rozkład za ćwierć wieku ułożył właściciel dóbr na Szlązku górnym, Kopice, hr. Ulrich v. Schaffgotsch. W dobrach tych ubito i wytępiono od d. 1-go kwietnia 1882 r. do d. 1 kwietnia r. b.

111 jeleni-byków, 30 śpiczaków, 165 łań i cieląt, razem 306 jeleni; 736 danieli-byków, 472 śpiczaki, 1,712 samic i cieląt, razem 2,920 danieli; 2,289 kozłów, 2,252 kóz, razem 4,541 sarn; 43 dzików, 99,902 zajęcy, 136,138 królików, 52,086 bażantów, kogutów i kur, 17 cietrzewi, 733 słonki, 1 kuliga, 174 bekasów, 75,616 kuropatw, 2 gęsi, 5,570 kaczek, 5 gołębi, 1,683 przepiórek, 7,478 wielkich ptaków, 38 błotnych, — razem użytecznych 387,253 sztuk.

Szkodników: 54 borsuków, 376 lisów, 50 wyder, 3,838 tchórzy, 398 kun, 11,753 łasic, 3,081 jeżów, 9,832 wiewiórek, 21 orłów, 171 czapli, 4,306 wielkich ptaków drapieżnych, 8,110 małych, 14,117 srok i wron, 13,668 sójek i gawronów, 3.737 psów, 6.924 kotów, razem sztuk 80,437. Ogółem 467,690 sztuk. Z użytecznej zwierzyny ubił sam właściciel 11 %.

## Na ołtarz św. Huberta.

| | rb. k. |
|---|---|
| Złożono w Redakcyi „Łowca Polskiego" do d. 1 lipca r. b. . . . . . . . . . . . . | 239.82 |
| W dalszym ciągu złożono: | |
| Od Kółka Małoszewskiego. . . . . . . | 13.25 |
| Ogółem wpłynęło składek | 253.07 |

## Drobiazgi myśliwskie.

**Galicyjskie Tow łowieckie.** W sali posiedzeń Tow. kredytowego ziemskiego we Lwowie odbyło się d. 2 b. m. doroczne walne zgromadzenie Tow. łowieckiego pod przewodnictwem Stanisława hr. Stadnickiego. Do zarządu powołani ponownie pp. Stanisław hr. Mycielski, Franciszek Szczerbicki, Teofil Żurowski, a w miejsce ś. p. Dzikowskiego, dr. Tadeusz Gorecki. Jako zastępcy członków wydziału zaś ponownie pp.: dr. Maryan Boziewicz, Konstanty Kownacki, a w miejsce d-ra Goreckiego, p. Tomisław Jędrzejowicz. Drugą częścią programu zjazdu było strzelanie popisowe uczestników zjazdu, delegatów innych towarzystw i zaproszonych gości. Strzelanie odbyło się po południu w strzelnicy wojskowej w obecności licznego grona widzów.

**Psy dla Towarzystw.** W jednem z pism warszawskich występuje p. M z następującym projektem: Amatorzy-hodowcy psów użytkowych rasowych znają specyalny gatunek psow, pochodzących z Newfoundland'u, wszechświatowo znanych jako miłośników pływania i wyciągania z wody na brzeg różnych pływających przedmiotów. Ciało tych psów, podobnie jak gęsie, porosłe jest delikatnym puchem, pokrytym z wierzchu długą, jedwabistą szercią. Wbrew ogólnie przyjętemu, myl emu mniemaniu, psy te nie mają palców, złączonych błoną, natomiast przez hodowlę w danym kierunku i budowę ciała, posiadają zdolność umiejętnego pływania, są bardzo zwrotne w wodzie i silne, a przytem są nadzwyczaj pojętne i łagodne. W portach zagranicznych są one stale używane do ratowania tonących; we Francyi nazywają je Terreneuve'ami, u nas wodołazami. Wskutek swej pojętności stanowią one nadzwyczaj podatny materyał do tresury, która nie wymaga więcej czasu nad 2—3 miesiące. W Towarzystwie ratowania tonących powinno ich być kilka, również jak i w Towarzystwie wioślarskiem.

**Psy w służbie policyjnej.** Naczelnik miasta Petersburga wydał rozporządzenie zaopatrzenia stójkowych, zajmujących posterunki na krańcach miasta, w psy dla tropienia przestępców.

**Psy wstrzymały licytacyę.** U jednego z drobnych przemysłowców za rogatką jerozolimską miała być dokonana licytacya. Punktualnie o g. 11 przed południem zajechało przed dom dłużnika 6 dorożek z komornikiem i wierzycielami. Gdy na dziedziniec wkroczyło przeszło 20 licytantów, z łańcuchów zerwały się dwa duże psy, które energicznie zaprotestowały przeciwko licytacyi. Wobec groźnych kłów uczestnicy się rozpierzchli i licytacya spełzła na niczem.

**Wyścigi psów z przeszkodami.** W Badenie odbyły się wielce oryginalne wyścigi psów. Na „torze“ stanęły: jamniki, mopsy, buldogi, fox-terriery i dogi, by się ubiegać o pierwszą nagrodę. Najciekawsze były wyścigi dogów, gdyż były to wyścigi z przeszkodami, w odpowiednim, naturalnie stylu. Mianowicie na torze porozrzucano kiełbaski, kawałki mięsa i tym podobne „przeszkody“, które miały powstrzymać psy w biegu. Rzecz prosta, że przy tym niemieckim sporcie nie zabrakło także totalizatora.

**Wywóz ptaków.** W Niemczech po wytrzebieniu ptactwa polnego i leśnego znowu zaczęto mnożyć je i urządzać na drzewach gniazda, co ma na celu ochronę roślin od robactwa. Agenci specyaliści zawarli stosunki z dostawcami w Rosyi, a podobno i u nas. Przesyłki ptactwa leśnego na komorach pruskich cieszą się specyalnymi przywilejami.

**Myśliwskie nazwiska posłów.** Wiedeńska „Conservative Correspondenz“ ogłosiła dowcipne zestawienie nazwisk nowowybranych do parlamentu austryackiego posłów. Zdaniem „Conserv. Corresp.“ myślistwo będzie w nowej Izbie reprezentowane przez jednego wszechniemieckiego Jaegera, dwóch czeskich Mislivec'ow i przez jednego leśniczego (Forst). Polować oni będą mogli na lwa (Loew), wilka (Wolf), dwa lisy (Fuchs), na orła (Adler) i na ziębę (Fink).

**Żyłka myśliwska Roosevelta.** Prezydent Roosevelt, który jest wielkim myśliwym i doskonałym zoologiem, wystąpił w jednem z pism nowojorskich przeciw przyrodnikowi Longowi, zarzucając mu, że w swoich książkach dla młodzieży szkolnej popisał mnóstwo głupstw fantastycznych. I dodał: „Szkoda, że ludzie, niemający pojęcia o życiu i zwyczajach zwierząt, piszują podręczniki zoologiczne, które bałamucą tylko młodzież szkolną“. W odpowiedzi na to, ogłosił obrażony Long list otwarty do prezydenta Roosevelta, w którym, między innymi, tak się wyraża: „Panie prezydencie! Jesteś ignorantem, a w dodatku człowiekiem źle wychowanym i tchórzem“. Taka polemika między „głową państwa“ a belfrem, jest chyba pierwsza od stworzenia świata.

* *

**Bocian nadworny.** Ojciec pokazuje synkowi ilustrowany dziennik, w którym jedna z rycin przedstawia króla, jak rzuca pszenicę pomiędzy drób, w blizkości którego stoi bocian.

— Tatusu — pyta synek — a cy bocian psyniósł królowi syna?

— Tak, moje dziecko!

— A cy i córeckę także?

— Także — odpowiada ojciec

— To bocian jest także nadwornym dostawcą.

* * *

**Zając a książę.** Książę. — Nie może sobie pani wyobrazić, jakim tchórzem jest zając..

Hrabina. — Tego nie wiem, naturalnie, ale gdyby zając miał księcia strzelbę, a książę nogi zająca, to kto wie, czy byłby odważniejszy od niego.

* * *

**Kostyum Dyany.** — A ty jaki kostyum włożysz na ten mitologiczny bal kostyumowy?

— Dyany.

— Dlaczego?

— Niech wszyscy wiedzą, żem przyjechała polować... na męża.

---

### Treść Nr. 14 „Łowca Polskiego“.



---

### Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

**W Warszawie:** rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rb. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

**Z przesyłką pocztową:** rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

**Zagranicą:** rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego“** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

**„Łowca Polskiego“** prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego“** Ś-to Krzyzka 36, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego“** adresować należy:

**Smolna 40, w Warszawie.**

# OGŁOSZENIA.



Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk „Drukarni Polskiej“ (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.